



MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA

Odkrywanie własnych korzeni

Dla mnie genealogia to nauka o tym kim jesteśmy przez pryzmat zdobywania informacji o tym skąd przychodzimy. Genealogią własnej rodziny zajmuję się właściwie od dziecka. Teraz doszło zajmowanie się rodzinami byłego i nieżyjącego już męża oraz obecnego małżonka. Odkrywam niesamowite historie, a te zawsze skłaniają do różnych refleksji.

Poznanie historii rodzinnych pozwoliło mi przede wszystkim zrozumieć jak złożona jest historia każdego człowieka i jak wiele czynników wpływa na to, że mamy taką a nie inną osobowość. Im dłużej w tym siedzę, tym bardziej widzę, co mam po kim. Natomiast stwierdziłam, że im dalej w las tym więcej drzew i żeby zgłębić to co zaczęłam nie starczy mi życia. Pewne jest, że takie zajęcie rozwija pamięć. Gdy jakiś czas temu na konfirmacji kuzynki rozmawiałam z jednym dalekim krewnym i z głowy rzucałam nazwiskami przodków, kto z kim jakie miał dzieci itd., to on oczy wytrzeszczył i spytał, jak ja to pamiętam. Stwierdziłam, że nie wiem jak, ale... pamiętam. Kiedyś bym nie pamiętała, jednak lata praktyki, czyli grzebania w tym drzewie zrobiły swoje. Sporą część drzewa, i to z gałęziami na boki, jestem w stanie otworzyć z głowy. A to tylko pokazuje, że to świetne ćwiczenie pamięci.

W 2013 roku zdecydowałam się uruchomić własny genealogiczny portal. Dałam mu adres: piekarscy.com.pl i... popłynęłam. Wszystko dlatego, że założyłam, że codziennie będzie na nim nowy wpis. To zmusza do rzucania wszystkiego i raz na jakiś czas zajmowania się tylko i wyłącznie genealogią. Ale przynosi też konkretne owoce. Jakże?

Wędrowki, czyli spacer śladami przodków

Na przykład odbyłam kilka fascynujących wycieczek. Najpierw po różnych cmentarzach. Początkowo szłam śladami przodków, ale potem także krewnych i powinowatych. I tak obeszłam wszystkie warszawskie cmentarze. Chodziło nie tylko o sfotografowanie nagrobków, ale i znalezienie tych, których wcześniej nie znałam. Odbyłam więc kilkanaście spacerów po Powązkach, Bródnie, Woli, Sadybie, a także cmentarzach luterańskim czy kalwińskim. Dzięki informacjom na pomnikach poszerzyłam swoją wiedzę.

Odbyłam też kilka podróży po Polsce śladami rodzinnych pamiętników. Między innymi pojechałam do Kalisza, gdzie Leon Nieszkowski, stryj mojej cztery razy prababki Joanny Nieszkowskiej, był w XIX wieku prezydentem, a z jego córką Pauliną tańczył Fryderyk Chopin, co sam opisał w jednym z listów do swojego przyjaciela Tytusa Wojciechowskiego. Podróż była jedną z bardziej wzruszających. Nawet nie dlatego, że znalazłam jego grób na miejscowym cmentarzu, ale powędrowałam po mieście śladami pamiętnika rodzonej siostry mojej praprababki – Jadwigi z Gorczyckich Tyblewskiej. Była to osoba niezwykle wrażliwa, a jej pamiętnik wielokrotnie bardzo mnie wzruszył. W czasie kaliskiej podróży najpierw odwiedziłam Kościół pod wezwaniem Świętego Józefa, czyli bazylikę mniejszą. Wszystko dlatego, że Jadwiga pisała: „*Modląc się u św. Józefa na Mszy za Leonka, podniosłam oczy i przez chwilę wydawało mi się, że go widzę, tego mojego syna biednego, zdala od swoich i kraju.*” Leon

był jej synem i wtedy, gdy Jadwiga była w kościele wiedziała o nim tylko tyle, że gdzieś tam bierze udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Pisała też: „Byłam w Kaliszu podczas odpustu św. Józefa, wyspowiadałam się, pomodliłam za wszystkie moje dzieci i z takim żalem, taką tęsknotą żegnałam wychodząc cudowny obraz św. Józefa, z myślą, że pewno więcej go nie zobaczę. Ileż tam opieki tego świętego doznałam. Ile tam razem z ukochanym mężem gorąco się modliłam za nasze dzieci. Teraz jeździłam, aby podziękować za łaskę doznaną, że kiedy Wandzia, wnuczka, ciężko chorowała i spodziewana była operacja, przyrzekłam sobie rok pościć środy do św. Józefa i Pan Bóg za przyczyną tego świętego raczył mnie wysłuchać. Gorączka spadła i niebezpieczeństwo minęło. Odpust w Kaliszu ósmiodniowy przypada na opiekę św. Józefa w trzecią niedzielę Wielkiej Nocy. Raz w młodych latach pamiętam jak na 19 marca zjechały się siostry mego Ojca do Kalisza Chrzanowska i Rudnicka, a później z moim Ojcem pojechały do nas. Wiele osób przyjeżdżało z Poznańskiego, teraz coraz mniej widzimy osób z inteligencji na tym odpuscie, czyżby tak wiara zaniknąć miała w tego cudownego świętego, o którym św. Teresa pisze „nie pamiętamy, bym go o cobądź w święto Jego nadaremnie błagała.”

To z kolei skłaniało do refleksji jak kiedyś byliśmy religijni, a jak dziś mało w nas tej religijności. W Kaliszu zajrzałam też do budynku Rady Miasta, bo jak to dalej w pamiętniku pisała Jadwiga z Gorczyckich Tyblewska: „Niedawno byłam w Kaliszu. Wszystko przypominało mi męża na każdym kroku, tego ukochanego i niezapomnianego nigdy w moim sercu człowieka. W parku spotykałam ciągle jego kolegów, w gmachu (obecnie starostwa) jak byłam i widziałam te pokoje i schody, po których 40 lat chodził, zdawało mi się, że mi serce pęknie.”

Odwiedziłam też dom, w którym mieszkała autorka pamiętnika, a na którym teraz jest tabliczka, że jest do rozbioru. To był najbardziej wzruszający moment, bo w pamiętniku napisała: „Dla mnie Kalisz ma tyle wspomnień, że każda bytność wiele nerwów kosztuje. Czasem jak widzę w ruinach odkryte ściany pokoi, gdzie kiedyś z mężem mieszkałam, nie mogę oczu oderwać, czuję po prostu ból fizyczny w sercu, a pomimo tego patrzę i pastwię się sama nad sobą, bo mam wrażenie, że tam są mego męża myśli, słowa, a może i dusza, za którą tęsknię. Koło drugiego mieszkania, gdzie mieszkaliśmy lat 20 oboje i wychowali nasze dzieci, również przejść obojętnie nie jestem w stanie. Czasem, jak nikogo nie ma, wejść od strony podwórza i patrzę na ogród, na drzewa sadzone ręką mego męża. Patrzę na okna, schody, a wtedy kiedy zdaję sobie sprawę, że tam w pokoju, poza tymi drzwiami dawniej były najbliższe memu sercu osoby, a dziś tylko obcy ludzie, tłumię łkanie i uciekam, by ukryć łzy cisnące się do oczu.”

Chodząc śladami pamiętnika Jadwigi myślałam o tym, że dziś wychodzimy za mąż z miłości, a często rozwodzimy się z nienawiścią. Zaś autorka pamiętnika wyszła za mąż z rozsądku, a tęsknota za zmarłym mężem, którego musiała zostawić na cmentarzu w Sumach na Ukrainie uciekając przed bolszewicką nawałą pokazuje, że jednak go pokochała.

Film, czyli co mogłam pokazać

Nakręciłam też film o Warszawie mojego prapradziadka Michała Franciszka Piekarskiego. Zatytułowałam go „Sto lat w Warszawie”, gdyż prapradziadek był dokładnie lat 97, czyli prawie sto. W rodzinnych dokumentach zachował się opis jego życia i to w dwóch wersjach, a ponieważ podane tam były różne adresy, nazwiska i fakty, więc przespacerowałam się po Warszawie wyobrażając ją sobie taką, jaką on widział ją wtedy, kiedy żył, czyli w latach 1841-1938. Potem wzięłam ze sobą telewizyjną kamerę, bo jeszcze wtedy pracowałam w TVP. Przecież to za jego czasów upowszechniono fotografię, kolej, powstały tramwaje elektryczne, prąd, pralka, telefon, lodówka, radio, a nawet telewizja. W filmie pokazałam wszystkie miejsca, które się z nim wiązały zaczynając od ulicy, na której się urodził i wychował, czyli Koźlej poprzez rynek Nowego Miasta, gdyż jak opisał 15 sierpnia 1850 roku „staliśmy się ofiarą ognia, który powstał w fabryce Braci Evans przy ulicy Świętojerskiej, sąsiadującej z posesją Haselberga, od 2-go podwórza, budynek cały był drewniany, prędko więc uległ spaleniu,

tak że niewiele można było uratować z mienia i pracowni. Noc przepędziliśmy na placyku pod kościołem S.S. Sakramentek na Nowem Mieście. Lokalu tymczasowo użyczył rodzicom Jakób Przewoźński, majster murarski zamieszkały na Nowem Mieście z pracowni kowalskiej Franciszek Schilling, mój chrzestny ojciec.” Pokazałam też miejsce gdzie zamieszkał potem i gdzie jego ojciec miał warsztat kowalski – ulica Podwale, gdzie chodził do szkoły, czyli teren dziś należący do klasztoru O.O. Dominikanów, a także kościół Wizytek gdzie brał ślub, miejsce gdzie pobudował kamienicę, czyli okolice dzisiejszych Żółtych Tarasów, a wreszcie jego grób. Film był okazją do opowiedzenia jak wyglądał pogrzeb w czasach stanu wojennego po powstaniu styczniowym, czemu po śmierci żony mógł ożenić się z jej rodzoną siostrą i jak wyglądała nauka w szkole w XIX wieku.

Spacery bez celu, czyli co przede mną

Przedemną podróżą śladami pamiętnika Jadwigi Gorczyckiej po innych miejscach niż Kalisz. A także wędrowka śladami pamiętnika z powstania warszawskiego Zofii ze Skrzyneckich Ruszczykowskiej, czyli siostrzenicy mojej praprababci i jednocześnie jej synowej, bo przecież tak to kiedyś było, że cioteczne rodzeństwo żeniło się między sobą. Chciałabym też odwiedzić miejsca opisane w wielu listach moich przodków. Wiem jedno: mieszkam na Saskiej Kępie i codziennie chodzę śladami moich saskokępskich przodków, a jest ich trochę. W genealogicznych poszukiwaniach tych gałęzi dotarłam do początków XIX wieku. Wiem, że moja prapraprababcia Eufrozyna Jops potomkini holenderskich osadników, którzy w okresie kontrreformacji przybyli na ziemię polską miała kilkanaścioro dzieci. Jej córka Karolina z Szenków Neumann zmarła podczas porodu i to po niej mam swoje drugie imię przekazywane z pokolenia na pokolenie jako drugie. Jej córka – moja praprababcia Anna z Neumannów Przybytkowska nadała swojej córce, a mojej prababci Leokadii z Przybytkowskich Adamskiej imię Karolina jako drugie, by nie powtórzyła losu swojej imienniczki i przy porodzie nie zmarła. Potem moja prababcia dała swojej córce Janinie z Adamskich Piekarskiej imię Karolina znów jako drugie. I tak to się ciągnie. Jestem Małgorzata, a Karolina mam na drugie, by zgodnie z życzeniem prababci długo żyć. Ale nie tylko o imię tu chodzi. Jopsowie, Neumannowie oraz skoligaceni z nimi Wolframowie i Szenkowie posiadali pół Saskiej Kępy (jeśli nie całą). Świadomość, że tak jest daje mi silne poczucie bycia tu, gdzie mieszkam naprawdę u siebie. Nie tylko dlatego, że mieszkam w domu wybudowanym przez prababcie Leokadię Karolinę z Przybytkowskich Adamską i to tuż obok domu jej matki Anny z Neumannów Przybytkowskiej, gdzie urodziła się moja prababcia, ale też i jej córka – moja babcia Janina z Adamskich Piekarska. Po prostu, ilekroć przemierzam ciasne uliczki tylekroć towarzyszy mi uczucie, że cienie przodków snują się za mną. Wynika to z powtarzanych przez epoki i przekazywanych z pokolenia na pokolenie legend, ale też i listów, które zostały w rodzinnych zbiorach, a w których Kępa została opisana. To dlatego ilekroć siedzę w Parku Skaryszewskim na Jeziorkiem Kamionkowskim na piwie tylekroć myślę o prapradziadku Władysławie Przybytkowskim, który podobno po piwku (lub czymś mocniejszym) wchodził do jeziora i przepływał je w pław, by dostać się do domu rodziców stojącego w miejscu dzisiejszej fabryki Wedla. Podobno praprababcia Anna z Neumannów Przybytkowska stawała wtedy na brzegu i złorzecząc mu krzyczała, że narobił jej dzieci i zaraz uczyni wdową i żeby natychmiast wracał. A on wracał, gdyż zmarł dopiero w 1933 roku, gdy wszystkie jego dzieci były już dorosłe i obdarzyły go wnukami. Jako katolik spoczął na cmentarzu Bródnowskim. Jego żona jako ewangeliczka na cmentarzu luterańskim, a dzieci na wielu różnych cmentarzach.

Literatura, czyli co znalazło się w książkach

Jako dziecko rysowałam z tatą drzewo, bawiliśmy się spisami mieszkańców Warszawy i odszukiwaliśmy „naszych” w tych spisach. Tak wyglądały moje genealogiczne „zabawy” w dzieciństwie. Jednak

te „zabawy” w dorosłym życiu zaowocowały sporo liczbą tak zwanych przedsięwzięć artystyczno-literackich. Już jako nastolatka zainteresowałam się listami przodków. Dzięki temu powstała potem książka „Dziewiętnastoletni marynarz”, która właściwie zapoczątkowała to, co teraz urosło do rozmiarów portalu, bo dokumenty związane z książką były pierwszymi, które skanowałam. Najpierw jednak przez 19 lat gromadziłam wiedzę potrzebną do napisania, a w końcu wydania książki „Dziewiętnastoletni marynarz”, której osi są listy Zbigniewa Piekarskiego, czyli brata mojego dziadka, pisane do rodziców ze szkoły morskiej w Tczewie. W książce zmierzyłam się z rodzinną tajemnicą jaką była samobójcza śmierć autora listów. Uznałam jednak, że niewydawanie tego drukiem to zgoda na umieranie historii. Jeśli ktoś uważa, że ona powinna umrzeć – niech takich rzeczy nie wydaje. Ja jednak uważam, że historia w znaczeniu przeszłość jest częścią naszego wspólnego życia. A taka „niefajna”, taka mroczna i niezbyt poprawna pokazuje, że ludzie zawsze przeżywali tragedie. Gdy odkryłam listy tegoż brata mojego dziadka ze Szkoły Morskiej w Tczewie miałam 19 lat, a więc dokładnie tyle ile on. Byłam tuż po maturze, nie dostałam się na studia i podjęłam pracę w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Po dwóch miesiącach pracy w słabo ogrzewanym BUW-ie rozchorowałam się i leżąc z temperaturą w pościeli przypomniało mi się, że na półce u ojca widziałam książkę „Znaczy Kapitan” Karola Olgerda Borchardta. Koleżanka z pracy polecała mi ją kiedyś, jako rewelacyjną lekturę na chorobę z gorączką, kaszlem i katarem do pasa. Pobiełam do obszernej, ojcowskiej biblioteki. Gdy wieczorem Tata wrócił do domu, a ja z wypiekami czytałam opowieść o Mamercie Stankiewiczu, rozpoczęliśmy rozmowę. Usłyszałam wtedy, że na „Lwowie” pływali Czesiek i Zbyszek – stryjowie mojego ojca. Po młodszym – Zbyszku zostały piękne listy. Pochłonęłam je w godzinę. Czytałam potem znajomym przez telefon. Wszyscy się zachwycali i mówili, że musiał to być fajny gość. Pozostało tylko pytanie: Co się z nim stało?! Wiedziałam, że ślad urywa się przed wojną, bo w innym przypadku opisałby go Tata w swojej książce „Tak zapamiętałem” wydanych przez PIW w 1979 roku wspomnieniach z czasów wojny. I tak po nitce do kłębka odkryłam rodzinną tajemnicę z nieszczęśliwą miłością i samobójstwem w tle. Gdy książka wyszła, kilka starych ciotek się wściekło, że wyprałam rodzinne brudy, ale dziś... nikogo to nie gorszy. Zgorszone ciotki zmarły i swoje święte oburzenie zabrały do grobu, a ich potomkowie są zachwyceni, że poznali tę historię, w której brat dziadka odbiera sobie życie, bo kocha się w mojej babci, a jego rodzony brat prowadzi ją do ołtarza.

Listy Zbyszka, o którym do dziś nie umiem pisać, ani myśleć „dziadek”, bo ciężko tak nazywać dziewiętnastoletniego chłopca, zapoczątkowały u mnie pragnienie dzielenia się rodzinnymi historiami z innymi. Wszystko dlatego, że spotkały się z żywą reakcją czytelników, a nawet odezwał się do mnie ktoś, kto podzielił się zachowanymi w swoich archiwach rodzinnych wspomnieniami z tego okresu opisującymi samobójstwo mojego przodka.

Ale „Dziewiętnastoletni marynarz” to nie jedyna moja książka, która wyrosła z genealogicznych poszukiwań i zainteresowań.

W 2015 roku opublikowałam książkę zatytułowaną: „Czucie i Wiara, czyli warszawskie duchy” będącą zbiorem opowiadań, w których pomieszałam prawdę z fikcją. Książka to 18 opowiadań kryminalnych ze zjawiskami paranormalnymi o poszczególnych dzielnicach Warszawy. Oto jest sobie biuro detektywistyczno-historyczne, prowadzone przez ojca i syna, czyli panów Krosnowskich (nazwisko wzięłam zresztą ze swojej rodziny), które rozwiązuje zagadki kryminalno-historyczno-paranormalne. Znajomi nazwali to „warszawskim archiwum X”. W książce znalazło się sporo historii zaczerpniętych z moich genealogicznych badań. Na przykład w rozdziale poświęconym Pradze Południe jest historia z Leonidem Piaseckim, którą wzięłam z odkrycia jego dwóch listów do mojej prababci Leokadii Karoliny z Przybytkowskich Adamskiej. Widziałam je od zawsze, ale zawsze też myślałam, że są pisane w jakimś obcym języku. Nagle się w nie zagłębiłam. Koperta, w której były nosiła tytuł: „Leonid Piasecki – junkier kijowskiej roty”. W środku była fotografia młodego, przystojnego człowieka ze zgrabnym krótkim wąsem. Miał niezwykle szlachetne rysy twarzy, wskazujące

ambitnego i pełnego nadziei na lepsze jutro młodzieńca. Tym razem odczytałam listy. Treść była napisana łacińskim alfabetem, ale tak, jak Rosjanie zapisują rosyjski. Były więc to kompletnie pomieszane języki. Z treści pocztówki i listu wynikało, że kiedy pradziadek Antoni Adamski nie dawał znaku życia, w prababci zakochał się nadawca tych listów Leonid Piasecki – żołnierz carskiej armii. Musiał szaleńczo ją kochać pisał bowiem: *„Twój głos brzmi w moich uszach, obraz twój zawsze przede mną. Straszny dla mnie czas. Tak przykro (w oryg. pchikro) nie było nigdy. (...) Kochana, złota Karolciu co ze mną będzie? Łzy u mnie na oczach. To co dałaś mi przeczytać na karteczce przed odjazdem pociągu nie daje mi spokoju. Rozpacz mnie ogarnia. Nie mogę sobie znaleźć miejsca w wagonie (...) Napisze więcej z Kijowa. Napisz mi, czy zrozumiałaś coś z listu?”* Czyli autor zdawał sobie sprawę z tego, że trudno będzie odczytać jego słowa. W następnym liście pisze: *„Wstyd mi, że nie umiem dobrze pisać po polsku.”* Myślałam, że skoro mu wstyd, to musiał być Polakiem, ale być może trochę zrusyfikowanym. Dziś domyślam się, że to zapewne był syn Piaseckiego, który ożenił się Heleną – córką Marii z Szenków Żernoklejowej, a więc daleki kuzyn prababci, której babka też była z domu Szenk. List był rozpaczliwy. Leonid pisał: *„Moja droga jakbyś wiedziała co ze mną dzieje się (w oryg. deeche). Zostały się jedno wspomnienie o Kempę, no w myślach i sercu jedna tylko ty. Niedobrze jest mi tak daleko od ciebie, tak smutno (...) Dobrze jest mi tylko w nocy, kiedy nikt nie widzi mojej rozpacz i łzy mogą same płynąć. Każdego dnia patrzę na Twoją fotografię, przyciskam do serca i czuję, że jesteś mi bliska. Tak mi jest niedobrze, jak nie było nigdy. Nie opiszę na papierze wszystkiego, co w sercu. Jedno mnie pociesza, że zobaczymy się. Nie na zawsze mnie wystali tak daleko od Ciebie. Nie zapomnij moja złota Karolciu, że gdzieś daleko jest Twój Lenia, który cię kocha aż po sam grób. (...) Boję się co będzie, żeby prędzej się zobaczyć i złączyć w jedną radość i jedną rozpacz. Proszę cię moja kochana nie rozpaczaj, nie płacz, nie marnuj się. Modlę się do Boga by pomógł nam i by nas złączył. Oh! Nie mogę więcej o tym pisać. Módl się za mnie, a ja modlę się (w oryg. modleche) za Ciebie. Bóg nam pomoże. (...) Chciałem jedno napisać, ale boję się. Nie gniewaj się. Przyjadę. Powiem. Pocałuj Janinkę ode mnie.”* Janinka to Janina z Adamskich Piekarska, czyli moja babcia. Na końcu listu były jedyne słowa napisane cyrylicą, czyli jego kijowski adres: *„Кієвъ Кієвское военное училище. Юнкеры 1 роты Леониду Јосифовичу Пясецкому”*. Pewnego dnia wpisałam je cyrylicą w wyszukiwarke i... dokonałam wielkiego odkrycia.

Do tej pory byłam przekonana, że Piasecki musiał zginąć albo w czasie I-szej wojny światowej albo w czasie rewolucji październikowej, gdyż niemożliwe jest, by mężczyzna, który tak kochał kobietę, więcej się do niej nie odezwał. Ale Google przekierowały mnie do strony Memorial.ru. Znalazłam na niej jeden dokument, od którego serce zaczęło bić niezwykle mocno, bo towarzyszyła dokumentowi fotografia. Na niej znajoma twarz, ale trochę starsza. Te same brwi, te same uszy, te same oczy i tylko spojrzenie smutne. Strona była poświęcona wszystkim, którzy kiedykolwiek zostali zesłani do sowieckich łagrów. I tak dowiedziałam się, że „mój” Piasecki, urodzony w 1890 roku w Warszawie, jako Polak, syn Józefa w latach 20-tych mieszkał w Jenisiejsku. Później został mianowany szefem biura transportu w obszarze operacyjnym GUSMP (główna dyrekcja północno-morskiej floty) w porcie Igarka. W listopadzie 1937 roku został aresztowany i skazany z trzech paragrafów na 10 lat łagrów. Jeden z zarzutów brzmiał: „przynależność do oficerskiego spisku powstańczego”. Był w obozie inwalidów w Kaczy. Został zwolniony w 1946 roku. Po zwolnieniu pracował w Jenisiejsku. Za życia nie został zrehabilitowany. To dokonało się dopiero w październiku 1989 roku na wniosek jego córki – Mai Leonidowny Karadinoj. Wtedy zrozumiałam czemu nie pisał do prababci, no i zrozumiałam też, że wywołany przeze mnie dla potrzeb książki duch Piaseckiego, domaga się po prostu rehabilitacji. Pozostała we mnie jednak duża ciekawość. Jaki właściwie był Leonid Piasecki? Zdecydowałam się napisać list do autorów strony i koniec końców trafiłam na jego wnuka. Siergiej Smolkin, który dziś ma 57 lat i mieszka w Krasnojarsku, gdy dostał ode mnie skan fotografii swojego dziadka przyznał, że zaniemówił z wrażenia, bo w rodzinnych zbiorach miał tylko jedno zdjęcie Leonida. To ze strony „MEMORIAL”, które, jak sam napisał „zawdzięcza” archiwom FSB. Jednak na przysłanej przeze mnie

fotografii bez problemu rozpoznał dziadka i napisał: „*Ciągle słyszałem, że jestem podobny do dziadka, zwłaszcza z tego, jak się poruszam. Podobno, jak typowy Polak. Ale aż do 1994 roku nie miałem pojęcia, jak dziadek wyglądał. A do dziś nie wiem, co jest takiego polskiego w tym moim chodzie. (...) nic nie wiem o jego życiu sprzed 1917 roku, bo nigdy nie chciał o tym mówić.*” – napisał Siergiej w e-mailu, w którym przysłał mi rodzinny pamiętnik ciotki i skany dokumentów, z których wynikało, że Piasecki – kuzyn i miłość prababci zmarł w 1962 roku jako mężczyzna, któremu szkorbut jakiego nabawił się podczas kolejnego pobytu w łagrze odebrał wzrok.

W tej samej książce znalazł się pomysł, który wzięłam z notatek ciotki Steni z Ruszczykowskich Krosnowskiej o jej dziadku Antonim Skrzyneckim. Zrealizowałam go w rozdziale o Wilanowie, w którym opisałam wizytę w XIX-wiecznej Warszawie Szacha Perskiego o skomplikowanym imieniu Naser ad-Din Szah Kadżar, którego Antoni Skrzynecki oprowadzał po wilanowskim pałacu informując, że Polska była wielka, bo „od morza do morza”.

Także z notatek tej samej ciotki wzięłam pomysł na rozdział dotyczący dzielnicy Wola, gdzie duch mojego przodka nawiedza cmentarz kalwiński. Przeczytałam kiedyś opisaną przez nią historię o grobie Hieronima Nieszkowskiego h. Kościesza, brata mojej prapraprababki Joanny z Nieszkowskich h. Kościesza Nieszkowskiej i w sposób naturalny postanowiłam się nad tym pochylić. Zwłaszcza, że znalazłam na tym cmentarzu rodzinne groby i faktycznie nie ma na żadnym wyrytego jego nazwiska, a na pewno tam leży, bo zachował się w prasie jego nekrolog i z tegoż nekrologu tak wynika. Anegdota spisana przez Stefanię z Ruszczykowskich Krosnowską brzmi natomiast tak: „*Po powrocie z Rosji w 1921 r. moja matka postanowiła odwiedzić swego ciotecznego dziadka, u którego mieszkała jego siostra Paulina Maleszewska. Licząc się z tym, że widok schorowanych starców może zrobić przykre wrażenie na ośmiolatce, dziecku, jakim wtedy byłam, zamierzała iść sama. Wuj Skawiński zaprotestował:*

– *Zabierz Stefulkę (tak mnie wtedy nazywano) przecież to są rodzinne relikwie.*

Przyszliśmy wieczorem. Prababcia Józefa Nieszkowska – młodsza wiele od męża przyjęła nas jakąś herbatką w oświetlonym stołowym pokoju – obok w ciemnym pokoju, do którego tylko sączyło się światło z jadalni leżało schorowane rodzeństwo. Poszliśmy do nich. Oboje pamiętali moją matkę. Prababcia Maleszewska rozmawiała serdecznie, ale zwyczajnie, natomiast pradziadek Nieszkowski powiedział do mojej matki:

– *Widzisz Zosiu, jaki się ze mnie stary niedołęga zrobił, a wszystkiemu winna ta Ojczyzna ukochana.*

Przeszły mię mrówki. Po zakończeniu wizyty już na ulicy moja matka odezwała się:

– *Co Ojczyzna winna, że dziadek jest stary...*

Poczułam się jakaś rozczarowana.

W kilka miesięcy potem pradziadek zapadł na zdrowiu jeszcze poważniej. Wuj Skawiński, będąc na cmentarzu kalwińskim zauważył w kwaterze rodzinnej wykopany grób, zapytał cmentarnika, dla kogo.

– *A to pani Nieszkowska kazała dwa tygodnie temu wykopać dla męża.*

Tymczasem mąż nie tylko wówczas nie umarł, ale nawet na tyle wydobrzał, że chciał się ubrać. Okazało się, że wszystkie jego garnitury zostały sprzedane.”

Ta historia to nie tylko ciekawa anegdota, ale też żywy dowód na to, jak zmieniają się czasy i obyczajowość. Nie tylko dziś nikt nie sprzedaby garniturów, ale jeszcze trudno by było znaleźć chętnych na zakup używanych.

Do rodzinnych historii nawiązałam w powieści dla młodzieży „Tropiciele”, której bohaterowie idą tropem pocztówek Waława Chodkowskiego. To warszawski malarz, ale też i szwagier mojej prababki, czyli męża Heleny z Przybytkowskich Chodkowskiej. Dla potrzeb powieści zmieniłam mu życiorys, bo beletrystyka rządzi się innymi prawami, ale... wrzuciłam do książki treść kilku

rodzinych dokumentów. Między innymi karteczki, którą napisała praprababka Stanisława Anna Sabina z Gorczyckich Ruszczykowska do przyjaciółki, a z której to karteczki wynika, że jej mąż a mój prapradziadek Bronisław Ruszczykowski był dość frywolny, gdyż praprababcia karteczki dokończyć nie może, ponieważ wyznaje: *„siedzę na kolanach i będąc gryzioną i lechtaną nie mogę więcej pisać”*.

Ostatnią książką, która jest owocem moich genealogicznych fascynacji jest napisana do spółki z nieżyjącym ojcem dokumentalna książka „Syn dwóch matek”. W książce, której napisanie przypłaciłam zresztą pobyt w sanatorium. To historia mojego stryja Jana Tchórza, czyli Dziecka Zamojszczyzny, które moi dziadkowie Bronisław i Janina Piekarscy wzięli z Domu Dziecka w czasie okupacji hitlerowskiej. Ale to też historia o mojej zamojskiej części rodziny, czyli... rodzinie mojej mamy Haliny ze Steców Piekarskiej, która urodziła się w Zwierzyńcu nad Wieprzem. To najbardziej osobista książka, bo pochyliłam się w niej nie tylko nad rodzinnymi historiami, ale nad własnym lękiem przed wojną. Dziś już wiem, że traumę się dziedziczy, ale zanim o tym przeczytałam w mądrych psychologicznych książkach musiałam się sama z nią zmierzyć. W „Synu dwóch matek” sięgnęłam do wspomnień Ojca, jego reportażu, ale też i do nagrań, listów oraz rodzinnych dokumentów. Dla wielu genealogia to sucha nauka o tym, kto z kim miał dzieci, dla mnie to coś więcej, to także wiedza o tym co kto przeżył, co myślał i co czuł. A ta książka jest takim dzieleniem się uczuciami.

Spektakl, czyli co można wykreować

Rodzinne listy były tym, co fascynowało mnie od zawsze. Po listach brata mojej dziadka ze szkoły morskiej w Tczewie, które zaowocowały książką „Dziewiętnastoletni marynarz”, przyszedł czas na listy pradziadka do prababci. Niby znałam je od zawsze, ale gdy rozwiodłam się i zmarli mi rodzice, a ja zostałam zupełnie sama te listy stały się pewnego rodzaju odtrutką na samotność i zwątpienie. Były i nadal są namacalnym dowodem na to, że prawdziwa miłość to nie wymysł poetów. Że ona istnieje. Zaś psychologowie, którzy w różnych kobiecych pismach piszą, że trwa 2 lata, bo liczy się tylko chemia, raczej się mylą. Bo jak inaczej niż miłością nazywać to co pradziadek pisał do prababci w 10 lat po ślubie: *„Bez ciebie mi szczeniaczku źle. Sam nie myślałem, że taka pchła, jak ty, tak mi potrzebna jest. Ale, że tak jest, to lepiej, sam się teraz przekonałem, że bez cipuchny cienko by kogutek piał. Gdy będziesz do mnie pisać list, to napisz, który numer pantofli nosisz. Może mi się uda ładne, tureckie pantofle kupić. No i nie smuć się, za dużo nie pracuj, wysypiaj się dobrze, odżywiaj się dobrze, bo gdy zbrzydniesz, gdy przyjadę, i schudniesz, to grzanie!”* Jest w tym i erotyzm i tęsknota i rozczulające uczucia, których nie sposób nie nazywać miłością. Najpierw na podstawie listów napisałam artykuł o miłości pradziadków do jednej z gazet. Ten artykuł przeczytał mój mąż – Zacharjasz Muszyński, który jest z zawodu aktorem i zapragnął z listów zrobić monodram. Udało się i monodram grany jest do dziś, bo ciągle znajdują się chętni do poznania prawdziwej historii prawdziwej miłości wplątanej w losy wielkiej światowej wojny niszczącej Europę. Zwłaszcza, że jest to historia, w której miłość do kobiety przeplata się z miłością do ojczyzny. Pamiętam, że bardzo płakałam, gdy po śmierci rodziców, jako dorosła i mocno samotna wtedy osoba przeczytałam pisany przez niego z wygnania fragmenty listów: *„Wiesz co Karolciu, chwilami mi się zdaje, że to niemożliwe żebym ja kiedyś wrócił do kraju, że to za dużo szczęścia, żeby to marzenie moje ziściło się. Mój Boże ileż to dni przez te trzy lata takich przeszło, w które zbieraliśmy się w rodzinnym kole, każdy z takich dni czy to były imieniny rodziców, czy sióstr, czy twoje lub moje, chodziłem jak krzyża zdjęty i żadna siła ludzka nie mogła mnie rozweselić. Co się z Janką dzieje, czy ona mnie pamięta? A matczyśko biedne i ojciec niejedną gorzką łzę wyleli przez ten czas, lecz choć czy aby żyją? (...) Napiszcież na rany boskie was proszę list do mnie, czyście się mnie wyparli? Nasi robotnicy, których rodzina czytać i pisać nie umie, to otrzymują listy z Warszawy, kolega, z którym mieszkam od czasu wyjazdu wczoraj otrzymał list z Warszawy od matki, a ja nic jakbym był sierotą i w kraju nie miał jednego serca, które by za mną*

westchnęło.” Litery listu były rozmazane przez łzy, które wsiąkły w niego wtedy, gdy odebrała go adresatka. A ja płakałam jakbym była nią. Ta moja reakcja pokazała mi, że historia moich przodków jest częścią mnie.

Artykuły, które powstały potem, a w których pisałam m.in. np. o dzienniczkach szkolnych i o tym, czego można się dzięki nim dowiedzieć o przodkach, czy o dowodach osobistych i zawartej w nich informacji o antenatach – to teksty powstające z suchych faktów. Listy i pamiętniki są w przeciwieństwie do nich tym, co lubię najbardziej, bo dają pełny obraz człowieka. To w nich jak w lustrze przeglądam się odpowiadając na pytanie, czy jestem z was moi antenaci czy nie? I coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tym co dziedziczymy w genach są nie tylko kolor oczu, włosów czy kształt paznokci, ale też i wrażliwość, zdolności lub ich brak oraz zainteresowania. Nie bierzemy się znikąd. Jesteśmy skądś, bo jesteśmy częścią naszych przodków i ja codziennie tę ich część staram się ocalić od zapomnienia. A że przodków dużo, odziedziczonych części dużo to wiem jedno... życia mi nie starczy. ■

Małgorzata Karolina Piekarska – ur. 24 lipca 1967 w Warszawie.
Z zawodu pisarka i dziennikarka. Z zamiłowania warsawianistka i genealog.
Przez 21 lat była reporterką Telewizji Polskiej specjalizując się
w tematach warszawskich i historycznych.